

Leszek S. Jankiewicz

---

## MOJE WSPOMNIENIA Z MŁODOŚCI, CZ. 1 DZIECIŃSTWO PRZED WOJNĄ, OKRES WOJNY, WYZWOLENIE SPOD OKUPACJI NIEMIECKIEJ

**Streszczenie:** Leszek S. Jankiewicz urodził się w Piotrkowie Trybunalskim, niedaleko Łodzi w 1925 r., w rodzinie nauczycielskiej. Opisuje swoje szczęśliwe dzieciństwo do wybuchu wojny w 1939 r. i swoje lata młodzieńcze, które w jego przypadku przypadały na czas okupacji niemieckiej. Społeczeństwo polskie zareagowało na zakaz nauki dla młodzieży polskiej powyżej poziomu podstawowego pilną nauką na tajnych kompletach. Leszek zdał maturę na tych kompletach w 1943 r. Chwali bardzo wysoki poziom nauczania na kompletach i bardzo miłą koleżeńską atmosferę. Potem Niemcy wprowadzili nakaz przynależności polskiej młodzieży do Pomocniczej Służby Przeciwlotniczej. Leszek wykorzystał wolny czas na wartach do nauki medycyny, ale stwierdził, że nie nadaje się na medyka i zdecydował się na studia rolnicze. Zapisał się na nie w Krakowie. Przeżywał bardzo burzliwie okres dojrzewania, kiedy wszystko musiało być zanalizowane jeszcze raz, nawet miłość do rodziców, miłość do Ojczyzny i miłość do Boga.

**Słowa kluczowe:** Tajne nauczanie, Luftszuc, życie w czasie okupacji, wiek dojrzewania, tajne studia medycyny, echa powstania warszawskiego, pierwsze dni „wolności” z Rosjanami.

**Summary:** Leszek S. Jankiewicz was born in a small town Piotrków Trybunalski near Łódź in 1925 in a family of teachers. He describes his happy childhood up to 1939 when the war of 1939 burst out. He describes also his adolescence which in his case coincided with German occupation. Polish society reacted strongly against German prohibition of teaching children above the primary school level. There was created a system of secret groups of teaching. Leszek passed the final examination for high school in such a system in 1943. He prizes high level of teaching in such underground teaching system as well as the very pleasant relations which governed in these groups. In 1943 Germans introduced obligatory service in anti-aircraft units (Luftschutzhilfsdienst) or in Baudients. Leszek used the free time of guards to study medicine, however he found that medicine is not for him and finally he decided to study agriculture and as soon as the front moved to the West

he entered the Department of Agriculture of the Jagiellonian University. He suffered very severely the maturation time when all should be analysed anew, even the love towards parents, even the love towards motherland or towards the God.

**Keywords:** Secret teaching at high school level, compulsory service in „Luftschutzhielfdienst”, studying medicine, repercussions of Warsaw uprising, first days of „freedom” with Russians.

### Dzieciństwo i wczesny wiek młodzieńczy.

Dzieciństwo miałem piękne i szczęśliwe. Mój Ojciec Ignacy był nauczycielem muzyki w Seminarium Nauczycielskim w Piotrkowie Trybunalskim. Wykształcenie muzyczne zdobył w Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie. Pochodził z Leska nad Sanem.

Ponieważ wiele szczegółów już się zatarało w pamięci (mam w chwili pisania tego tekstu 98 lat), chcę utrwalić to, co jeszcze się zachowało w zakamarkach „pamięciowego archiwum”.

Mama Stefania z domu Rothkaehl była jakiś czas, przed pierwszą wojną światową, profesorką fortepianu we wspomnianym Konserwatorium. Była córką leśniczego z okolic Gródka Jagiellońskiego koło Lwowa. Rodzice zamieszkali w Piotrkowie, gdzie ojciec otrzymał posadę nauczyciela muzyki i mieszkanie. Ja urodziłem się w roku 1925. Miałem brata Adama o 6 lat starszego, który był dla mnie wzorem w wielu życiowych sprawach. Brat był zapalonym harcerzem i ja w wieku 9 lat stałem się już „zuchem” i członkiem Związku Harcerstwa Polskiego (ZHP) w Piotrkowie. Rodzice przyjęli też do domu półsierotę, starszą ode mnie o kilkanaście lat, Marychnę G., która była dla mnie jak najlepsza siostra, do końca życia.

Pamiętam, jak bardzo lubiłem spacerować z ojcem. Ojciec poza muzyką wykladał też w Seminarium Nauczycielskim przyrodę i znał się na roślinach, zwierzętach, minerałach. Mama próbowała uczyć mnie gry na fortepianie, ale to mi zupełnie nie szło. A za oknem świat był taki zachwycający, pełen ciekawych zjawisk. Bardzo wcześnie zacząłem hodować gąsienice i kolekcjonować motyle. Nie zapomnę swojego zachwytu, jak wyszedł z poczwarki hodowanej przeze mnie przepiękny motyl paż królowej, cudny jak najdroższy klejnot.

Jak miałem 7–8 lat rodzice zatrudnili dla mnie nauczycielkę rysunków (uczennicę Seminarium), zapewne ze względu na pamięć malarza – pradziadka Rothkaehla. Bardzo mi te umiejętności potem w życiu pomagały, gdy prowadziłem wykłady, tablica musiała żyć. Mam wspaniałe, ciepłe wspomnienia o domu rodzinnym i panującej w nim atmosferze. Wokół domu moich rodziców stale kręciło się kilka młodych osób, które czasami przez całe miesiące mieszkaly u nas, np. z powodu trudności komunikacyjnych. Nazywałem je ciociami. Przyjaźń z nimi dochowała się do końca ich życia.

Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918, okupionej tyłoma ofiarami, duch w narodzie i wśród młodzieży był bardzo patriotyczny. Pamiętam defilady z okazji 3 maja lub 11 listopada. Gdy w kościele z okazji większych świąt śpiewano *Boże coś Polskę*, to aż się mury trzęsły. I starzy i młodzi chcieli



Fot. 1. Piotrków Tryb. kościół Jezuitów i nasze gimnazjum im. Bolesława Chrobrego.

wysławiać radość z odzyskanej po 123 latach niepodległości. Pamiętam szkolną wycieczkę do Warszawy – zwiedzanie Zamku Królewskiego – gdzie bardzo dobry przewodnik oprowadzał nas po komnatach. Pamiętam, jak po zwiedzaniu byliśmy dumni, że jesteśmy Polakami. W domu wycieczkowym, gdzie nocowaliśmy, nocowała także wycieczka Poleszuków w lnianych samodziślowych ubraniach. Zagadnałem jednego z nich i rozmawialiśmy: ja 9-letni Polak i on 9-letni Białorusin o sytuacji politycznej naszych narodów. Oczywiście powtarzaliśmy to, co słyszeliśmy w naszych domach rodzinnych. On wyrażał się z wielką troską o agresywnej propagandzie sowieckiej na Polesiu.

Ogromne wrażenie wywarły na mnie kolonie zuchowe w Dąbkach nad morzem. Prowadziły je drużyny z Seminarium Nauczycielskiego z Piotrkowa. Spaliśmy w nieczynnej w lecie szkole. Drużyny stosowały harcerskie metody wychowania, mieliśmy ogniska, na których bywali też obozujący obok harcerze z Kielc. Chodząc w mundurze, czułem się kimś, salutowałem innym harcerzom. Na ogniskach śpiewaliśmy nasze piękne harcerskie piosenki. Wiele z nich było przepełnionych patriotyzmem. Nie zapomnę modlitwy wieczornej na koniec każdego ogniska, gdy braliśmy się za ręce i śpiewaliśmy wokół żaru:

Idzie noc, słońce już zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z mórz...

W cichym śnie spocznij już, Bóg jest tuż....., Bóg jest tuż...

I czuło się obecność tego miłującego nas Boga tuż, tuż w tajemniczym mroku za ogniskiem. Gdybym nie przeżył tego urokliwego obozu-kolonii,



Fot. 2. Moi rodzice: Ignacy i Stefania ze mną i zaprzyjaźnionym kapelmistrzem 25. pułku piechoty w Piotrkowie, sierpień 1939 r.

zapewne nigdy bym nie wpadł na pomysł zorganizowania obozów dla młodzieży w Skierniewicach, które prowadziłem w latach 1967–2012.

Ostatni rok przed wojną nie chodziłem do gimnazjum. Po bardzo ostrej anginie otarłem się o śmierć (wrzesień 1938 r.). Miałem kłopoty z sercem, ale brak obowiązków szkolnych spowodował, że się rozleniwiłem i tylko gorące perswazje korepetytora i jednocześnie przyjaciela domu Irka Gratla spowodowały, że początkowo z wielkimi oporami przerobiłem program 2 klasy gimnazjum.

### Początek wojny

Przyszła wojna. Pierwszego września 1939 r. radio obwieściło, że Wieluń został katastrofalnie zbombardowany. Także Westerplatte i Poczta Gdańska zostały przez Niemców zaatakowane. W Piotrkowie pierwszego dnia jedynie niemieckie samoloty zwiadowcze przelatywały nad nami bardzo wysoko, jednak drugiego dnia spadły już pierwsze bomby i były pierwsze ofiary. Trzeciego dnia odczuliśmy, że Piotrków leży na linii głównego ataku, który szedł od Częstochowy prosto na Warszawę. Samoloty bombardujące latały nad nami przez cały dzień. Prawie cała południowa strona głównej ulicy Piotrkowa (ul. Kaliska, dziś Słowackiego) spłonęła (między innymi spłonęła też Szkoła Muzyczna moich rodziców). Mój brat jako harcerz pełnił funkcję obserwatora na wieży któregoś kościoła. Wszyscy mieszkańcy z naszego



Fot. 3. Mój brat Adam.



Fot. 4. Maria G. była dla mnie jak najlepsza siostra.

podwórka skryli się w największej piwnicy i przez cały czas modlili się. Dwie bomby spadły na nasze podwórko, ale na szczęście trafiły tylko w drewnianą altanę. Bomba spadła bardzo blisko mnie, cud, że mnie nie dosięgnął żaden odłamek. Wszyscy mieszkańcy z naszego podwórka uradzili, że tego jeszcze dnia (3 września) w nocy opuszczą Piotrków.

Wieczorem pojawił się mój brat Adam zdecydowany zaciągnąć się do wojska i udać się najpierw do Warszawy, a potem na wschód. Długo, w milczeniu, popatrzyliśmy sobie w oczy przy świetle kaganków i to było nasze ostatnie widzenie. Wiele rzeczy robiłem potem dla jego pamięci.

Ulica prowadząca na wschód, w kierunku Sulejowa (małej miejsciny nad Pilicą), była nocą zatłoczona ponad miarę. Po wyjściu z lasu koło Uszczyna i Poniatowa okazało się, że Sulejów płonie. Był silnie bombardowany w ciągu dnia. Mieszkańcy, głównie Żydzi, biegali w panice bez celu, narażając się na odłamki bomb. Bardzo wielu ich zginęło. Zginęła niestety także nasza znajoma Wiesia Urbańska, siostra Kazimierza, przyjaciela Adama, znana harcerka, która pod bombami ratowała, kogo się tylko dało. Bomba urwała jej nogę. Widząc przed sobą pożar, mieszkańcy naszego podwórka cofnęli się do stodół w pobliskich wioskach w Uszczynie oraz Poniatowie i tam spędzili noc. Za 2 dni już spotkali Niemców. Ja z rodzicami wróciłem do domu, do Piotrkowa.

Odczucia nasze były straszne. Przed wojną karmiono nas propagandą o naszej potędze. Hasło „silni, zwarci i gotowi” widoczne było wszędzie.

Tymczasem ta potęga rozsypała się jak domek z kart pod przemożnym naciskiem wroga. Przewaga Niemców w samolotach, broni pancernej itp. była miażdżąca. W tej sytuacji niewiele mogło pomóc wielkie bohaterstwo naszych żołnierzy. Walki trwały nieco ponad miesiąc, a w dodatku 17 września od wschodu napadli na nas Sowieci. W walce przeciwko Sowietom zginął, jako ochotnik, mój brat Adam. Zginął od kuli z samolotu. Rozpacz mamy była ogromna.

### Krótką dygresja na temat sytuacji politycznej w Europie.

Anglia i Francja były bardzo słabo przygotowane do wojny. Dlatego ogromnie im zależało, żeby pierwsze niemieckie uderzenie poszło na wschód, na Polskę. Zawarcie paktu przymierza między Hitlerem a Stalinem w sierpniu 1939 r. tym bardziej wystawiło Polskę na niemiecki atak. Minister Beck, wykorzystując piękne przemowy o honorze, również czynił atak Hitlera na Polskę coraz bardziej spodziewanym. Wprawdzie Francja i Anglia oraz Belgia i Holandia nie udzieliły nam spodziewanej pomocy w walkach w 1939 r., ale trzeba im oddać sprawiedliwość, że zaraz na początku września wypowiedziały wojnę Niemcom. Hitler był wściekły, bo liczył, że te kraje są przeżarte niemocą i nie włączą się do wojny. Natomiast dobrze był przygotowany do wojny pod względem uzbrojenia Związek Sowiecki, ale jego rząd był znienawidzony przez ludność i jego armia wstrząsana coraz to nowymi „czystkami” nie rwała się do boju (patrz dalej rozdział: *Zmiany w nastawieniu do wojny żołnierzy sowieckich*).

### Okupacja niemiecka, tajne nauczanie

Zaczęła się okupacja. Pierwszym krokiem Niemców było opróżnienie wielkiego budynku naszego gimnazjum z zamiarem przeznaczenia go na szpital, który w końcu tam nie powstał. Prawie wszystkie książki z bogatej biblioteki gimnazjalnej wyrzucono przez okno na dziedziniec i potem spalono, bo były polskie. Na szczęście profesorowie zdążyli część książek schować. Niektóre z nich trafiły na przechowanie do naszego domu i były dla mnie i kolegów bezcenne (podobnie jak mikroskop, który przechowywałem). Różne kolekcje np. minerałów też wyrzucono. Nas uczniów władze niemieckie początkowo zawiadomiły, że gimnazjum jest otwarte i było otwarte przez 2 tygodnie, a potem skierowano nas do odgruzowywania miasta. Decyzją najwyższych władz niemieckich było, że Polakom powinno starczyć wykształcenie na poziomie szkoły podstawowej. Spowodowało to spontaniczne powstawanie tajnego nauczania jako głównej dostępnej metody sprzeciwu wobec okupanta. Początkowo, z inicjatywy ojca, przerabiałem program III i IV klasy gimnazjum z korepetytorem Ireneuszem Gratlem, zaprzyjaźnionym z całą naszą rodziną, a potem program liceum zakończony maturą na tajnych kompletach. Egzamin maturalny zdawaliśmy w czerwcu 1943 r. Lekcje odbywały się w grupach po około 7 osób, każdego dnia w innym mieszkaniu i co godzinę zmieniali się profesorowie. Poziom nauczania, jak się przekonałem



Fot. 5. Obóz harcerski drużyny „Czwórki” nad Pilicą, około 1934 r.

potem, będąc już na uniwersytecie, był na naszych kompletach bardzo wysoki i to zarówno z przedmiotów humanistycznych (uczyła nas znakomita polonistka pani profesor Wróblewska), jak i przedmiotów ścisłych (pan profesor Stojda – matematyk). Chemii i biologii uczył nas bardzo skrupulatny pan prof. Wojtczak. Niemiecki inspektor szkolny na szczęście nie był zbyt wnikliwy, jeśli chodzi o naukę młodzieży. Wieść głosiła, że był Ślązakiem i jego matka była Polką.

Wspomnę jeden przypadek z nim związany. Pewnego razu żandarmi w czasie ulicznej rewizji aresztowali naszego profesora historii (pana Jasiołka) z teczką pełną szkolnych podręczników historii. Odstawili go do tego inspektora. Ten zobaczywszy, co nasz profesor ma w teczce, a znał język polski, ryczał na niego tak strasznie, że jak mówili świadkowie, tynk ze ścian odpadał, ale na zakończenie wyrzucił go razem z jego teczką i podręcznikami. Na drugi dzień pan profesor Jasiołek zjawił się normalnie na naszych lekcjach. W innych miastach nie było tak błogo i za tajne nauczanie można było łatwo trafić do Oświęcimia.

W początkach okupacji, gdy Niemców rozpierała pycha, popełnili w naszym mieście okropną zbrodnię. Jednego dnia zaaresztowali kilkudziesięciu starszych harcerzy, wywieźli ich do podmiejskiego lasu i rozstrzelali. Nasi konspiratorzy po długich poszukiwaniach odnaleźli mogiłę. Niemcy niszczyli najpiękniejszy kwiat narodu: patriotyczną młodą inteligencję. Podobnych



Fot. 6. Kartka propagandowa Międzynarodowego Zlotu Harcerskiego w Spale, 1935 r. „Poranna toaleta”. Żubr był symbolem Zlotu. Malował harcerz z Piotrkowa – W. Grabowski.



Fot. 7. Kartka propagandowa Międzynarodowego Zlotu Harcerskiego w Spale, 1935 r. „Marsz na Zlot”. Malował harcerz z Piotrkowa – W. Grabowski.



Fot. 8. Kartka propagandowa Międzynarodowego Zlotu Harcerskiego w Spale, 1935 r. „Cisza nocna”. Malował harcerz z Piotrkowa – W. Grabowski.



zbrodni dokonali w wielu innych polskich miastach. Musiała to być ogólna niemiecka dyrektywa. Jakoś nie przypominam sobie szczegółowego opracowania na ten temat dotyczącego całej Polski. Może ktoś to zrobi.

Młodość ma swoje prawa. Na kompletach kwitło życie towarzyskie, zawiązywały się sympatie, urządzaliśmy zabawy. Koleżanki postarały się, aby nas nauczyć tańczyć. Ale zdarzało się, że wieczorem ktoś był na potańcówce, a na drugi dzień już na służbie w lesie z bronią w ręku. Ja w wieku 16 lat byłem już zobowiązany podjąć pracę. Pracowałem jako subiekt sklepowy w spółdzielni „Społem”. Nie przeszkadzało to zbytnio w nauce.

### Służba w Luftsztucu i praca w Nadleśnictwie

Po ukończeniu 18 lat zostałem wzięty przymusowo do Pomocniczej Służby Przeciwlotniczej *Luftschutzhielfdienst* (LHD), czyli do „Luftsztucu” (jesień 1943 r.). Początkowo służyłem w oddziale sanitarnym, a potem w straży pożarnej. Byliśmy skoszarowani, ale łatwo było dostać przepustkę do domu. W obu tych jednostkach przyjaźniłem się z rówieśnikiem Stefanem (Wojtkiem) Rozpędkiem i z Włodzimierzem Ścisłowskim trochę starszym ode mnie. Będąc w Luftsztucu, nie zapominałem o nauce i uczęszczałem na lekcje angielskiego do pani Wodzickiej, byłej profesorki gimnazjum piotrkowskiego (im. Bolesława Chrobrego) i na lekcje francuskiego do nauczycielki francuskiego, wysiedlonej z Gniezna, która zamieszkała u nas w domu oraz na lekcje rosyjskiego u jej męża. Po maturze zacząłem się intensywnie uczyć anatomii człowieka z książek wypożyczonych od znajomego lekarza dr. Otrębskiego, zamierzając w przyszłości zostać lekarzem. Poświęcałem na naukę każdą chwilę na służbach wartowniczych, na których przeważnie nie miałem nic do roboty. Moja koleżanka Halina Obutelewicz (z naszego kompletu), która studiowała medycynę na tajnym Uniwersytecie Poznańskim w Warszawie, przysyłała mi wskazówki, co do nauki, ale wkrótce okazało się, że ja postępuję w nauce kilka razy szybciej niż oni, widocznie miałem więcej czasu w wielkim bardzo niespokojnym mieście. Miałem wtedy ogromny zapal i wypoczęty, chłonny umysł.

Środowisko w Luftsztucu było bardzo różnorodne, oprócz chłopców po maturze były tam też najgorsze meły piotrkowskie i trzeba było w tym otoczeniu znaleźć jakieś miejsce. Niemcy starali się nas rozpić i zdemoralizować. W pracy otrzymywaliśmy bardzo skromną płacę, czasami jakiś przydział, np. kostki okropnego mydła (jak głosiła plotka a może i nie plotka – mydła zrobionego z tłuszczu Żydów uśmierconych w komorach gazowych). Dość regularnie jednak otrzymywaliśmy przydziałowe „pół litra”. W kinach wyświetlano demoralizujące filmy. Nasze władze konspiracyjne starały się temu przeciwstawić, np. rozpowszechniano powiedzonko *W kinie siedzą świni!*

Tęsknota za wojskowością była powszechna, np. na wartę przed naszymi koszarami (budynek, o ile pamiętam, byłej gminy żydowskiej) ubieraliśmy się w polskie hełmy, których parę egzemplarzy ktoś, gdzieś znalazł. Niemcy na to nie zwracali uwagi. W mieście wrzała praca konspiracyjna polegająca na utrudnianiu Niemcom prowadzenia wojny i na obronie polskiej ludności.

Np. chłopcy z naszej miejskiej partyzantki, na rozkaz dowództwa, zastrzelili jednego dnia kilkunastu konfidentów, którzy śledzili naszych ludzi i dawali informacje o nich do gestapo, co zwykle skutkowało zesłaniem do obozu koncentracyjnego. Pozostali konfidenti w panice opuścili miasto. Ludzie odetchnęli. Po wojnie poznałem osobiście jednego z wykonawców tych egzekucji pana Leszka Dziomdziorę z Łodzi, po wojnie znanego hodowcę kwiatów.

### Burza światopoglądowa

Jak większość młodzieży, przeżywałem w wieku 17–19 lat burzę światopoglądową. Zaczęło się to u mnie nagle w ciągu paru dni. Wszystko podlegało od nowa analizie. Rewidowałem stosunki, jakie łączyły mnie z innymi ludźmi. Przedtem byłem bezgranicznie zakochany w starszej od siebie koleżance z tajnego nauczania Darii (Darusi) pochodzącej z Kresów (Brzeżany), która po zajęciu naszych Kresów przez Niemców wróciła tam. Niestety, miłość ta została „zdruzgotana” przez szalejącą we mnie burzę światopoglądową. „Odkochałem się”. Biedna Darusia mocno to przeżyła! Pojęcie Boga, nawet pojęcie Ojczyzny, nawet miłość do rodziców – wszystko musiało być od nowa przeanalizowane. Mój przyjaciel z wczesnej młodości Tadeusz Głowacki przeżywał „bunt dojrzewania” równoległe ze mną, czasami co do dnia. Pamiętam raz mówiłem mu: dzisiaj coś mnie tknęło i wyszukiwałem w słowniku francusko-polskim wszystkie nieprzyzwoite słowa, a on na to – coś podobnego! A ja dzisiaj to samo robiłem w słowniku niemiecko-polskim (należeliśmy na kompletach do innych grup językowych).

Były też momenty niebezpieczne w naszym dojrzewaniu. Pewnego razu byłem wtedy w Luftsztucu, zupełnie niespodziewanie napadły mnie myśli samobójcze. Nikomu o tym nie mówiłem, ale stale o tym myślałem. Pokusa była strasznie silna. Na szczęście trwało to bardzo krótko, chyba 2–3 dni. Potem, równie nagle, pokusy się skończyły. Jako katolik powiedziałbym – szatan ode mnie odstąpił. Ktoś musiał się za mnie gorąco modlić.

### Zmiany w nastawieniu do wojny żołnierzy sowieckich

W kilku słowach opowiem o tych zmianach, gdyż w decydujący sposób wpłynęły na losy wojny. Opieram się na opowieści doc. Józefa Włodka, pracownika Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach, którego rodzina miała niewielki majątek rolny w pobliżu Białegostoku oraz na opowieściach kilku innych osób.

**Obrazek 1.** Opowiada doc. Józef Włodek. Jest 22 czerwca 1941 r. Rano Niemcy napadły na ZSRR. Armia niemiecka wdzierając się w terytorium sowieckie i początkowo posuwa się naprzód kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Rozpiera ich pycha. Pan Włodek mówi, że w jego majątku dwóch Niemców na motocyklach wyjechało i wkrótce wróciło z około 60 sowieckimi jeńcami, którzy im nieśli karabiny. Obrazek nie do wiary, ale świadczący, że żołnierze sowieccy po prostu nie chcieli walczyć za znenawidzonego Stalina. Oto

słowa piosenki, którą żołnierz sowiecki przekazał w tajemnicy Polce ze wschodu, mojej znajomej:

*Czto to tiazkij wozduch stał na bolszoj aleje?*

*Eto Lenin zawaniał w swoim mauzoleje.*

(Dlaczego ciężkie powietrze zapanowało na wielkiej alei?

To Lenin zaśmierdzał się w swoim mauzoleum).

**Obrazek 2.** Opowiada taksówkarz skierniewicki pochodzący z Kresów, były żołnierz Armii Czerwonej (zdaje się o nazwisku Kozłowski). Zaraz w pierwszych dniach wojny dostał się do niewoli niemieckiej. Mówi: „utworzyli z nas grupę i kazali biec, a sami okrażali tę grupę na motocyklach. On upatrzył moment, gdy jeden motocyklista już minął początek grupy, a drugi z tyłu jeszcze nie nadjechał i rzucił się w stojący po obu stronach drogi tłum widzów. Ludzie od razu go odciągnęli w tył i przykryli, aby nie było widać munduru. Tak się uratował. Ale co pomyśleli widzący takie obrazki chłopi? Zmienił się diametralnie stosunek narodu ruskiego do Niemców: „to nie są nasi przyjaciele, którzy nas wyzwolą od Stalina, to są nasi zaciekli wrogowie”.

**Obrazek 3.** Nie pamiętam, kto to opowiadał, ale to znane fakty. Niemcy w obozach koncentracyjnych masowo mordowali jeńców sowieckich. Panował w nich straszliwy głód: trawa, kora drzew, wszystko było zjedzone. Raz dano tym jeńcom rybę, co za radość – ale ryba była strasznie słona, a nie dano wody. Rano prawie wszyscy jeńcy byli martwi. Wieści o takich zbrodniach przedostawały się przez druty i eksplodowały strasznym gniewem.

**Obrazek 4.** Opowiadał sąsiad z Wileńszczyzny zamieszkały na sąsiedniej ulicy, żołnierz Armii Czerwonej. Był adiutantem jakiegoś generała i stale mu towarzyszył. Często odwiedzali żołnierzy w okopach. Mówił, że w czasie tych odwiedzin słyszało się stale tylko jedną prośbę „Towarzyszu generale, kiedy będziemy atakować? Kiedy będziemy atakować?”

Z takim wrogiem już Niemcy nie mogli łatwo zwyciężać.

### **Wstąpienie do Armii Krajowej**

Po kilku miesiącach służby w Luftszucu otrzymałem od Włodzimierza Ścisłowskiego propozycję wstąpienia do Armii Krajowej. Pośredniczył oczywiście Stefan Rozpędek. Moją wojskową przysięgę odebrał w czerwcu 1944 r., w jakimś mało uczęszczanym sklepie oficer wojska polskiego.



Fot. 9. Mój wspaniały wódz zachowy  
Tadeusz Kwiatkowski, autor książki  
*Jeden trudny rok.*

**Oto tekst przysięgi, jaką składałem:**

W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny, Królowej Korony Polskiej, przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej Rzeczypospolitej Polskiej.

Stać nieugięcie na straży Jej honoru, o wyzwolenie z niewoli walczyć z wszystkich sił aż do ofiary mego życia.

Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej Naczelnemu Wodzowi i Wyznaczonemu przezeń Dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny.

A Tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało.

Tak mi dopomóż Bóg.

Sklep był otoczony w tym czasie uzbrojoną „obstawą”. Tak zostałem żołnierzem Armii Krajowej. Rodzice nie byli zachwyceni moją decyzją. Stracili już jednego syna (jak wspomniałem, w czasie kampanii wrześniowej 1939 r.), a tu drugi syn znowu wstępuje na śliskie tory. Niezadowolony był również znajomy krawiec pan Rybak, przedstawiciel Szarych Szeregów (tajnego harcerstwa polskiego), który zaproponował mi udział w tej organizacji jako bratu znanego piotrkowskiego harcerza Adama Jankiewicza. A ja, ku jego zgrozie, odmówiłem, podając jakąś błąhą przyczynę. Nie mogłem bowiem mu wydać, że już jestem członkiem AK. Panowała wówczas zasada „jak nie wiesz, to nie powiesz, nawet gdyby cię przysmażali na gorącej blasze”.

Początkowo mieliśmy zebrania akowskie zwane „odprawami” w mieszkaniach prywatnych, za każdym razem gdzie indziej. Najbardziej pamiętam pierwszą odprawę. Odbyła się z udziałem dowódcy oddziału o pseudonimie „Vell” (Bolesław Góra). Raczej niepozorny człowiek, ale o wyraźnych przywódczych skłonnościach. Położył przed nami dwa rewolwery i zrobił krótki wykład o ich budowie (za posiadanie broni groziła kara obozu koncentracyjnego). Sporo także mówił o zasadach konspiracji. Na innej odprawie, która odbyła się w pierwszych dniach sierpnia, ktoś doniósł, że w Warszawie wybuchło powstanie. Nie wiem dzisiaj, co czuli i wyrażali koledzy, ale ja czułem wręcz rozpacz. Łatwo było wyobrazić sobie ogromne rzesze patriotycznej młodzieży, na pół bezbronnej w starciu z doskonale uzbrojonymi frontowymi żołnierzami niemieckimi.

Kilku z moich kolegów uciekło z Luftsztucu do Warszawy jeszcze przed wybuchem powstania (Jerzy Rudny, Tadeusz Rudny i inni). Po skończonym powstaniu i ucieczce z transportu skierowanego do obozu koncentracyjnego kolega Zygmunt Soczek i inni uczestnicy powstania zjawili się u nas w domu i dzielili się opowiadaniem o swoich przeżyciach. Przytoczę parę epizodów z ich opowiadań.

Jak wspomniałem, nasze akowskie zebrania odbywały się przeważnie w domach prywatnych, ale dwukrotnie nasz komendant Vell urządził nam ćwiczenia w dużej grupie na wolnym powietrzu, było to jesienią 1944 r. Pierwsze ćwiczenie odbyło się na skraju lasu w Świerczowie koło Piotrkowa. Po drodze byliśmy wielokrotnie sprawdzani – czy znamy hasło. Jednym ze sprawdzających był żołnierz o pseudonimie „Bałagan”, o ile dobrze pamiętam. Noc była przeraźliwie chłodna, a ja w letnim ubraniu, ale przeziębienie

mnie jakoś ominęło. Po raz pierwszy dostaliśmy do rąk kilka karabinów i mogliśmy poćwiczyć musztrę. Były różne szkolenia, ale w stosunkowo skromnym zakresie. Ja po raz pierwszy stałem na prawdziwej warcie z rewolwerem w ręce. Na szczęście las był milczący. Ilu było żołnierzy na tej „odprawie przy ogniskach”, dziś nie pamiętam, pewnie ponad 100–150.

Drugie ćwiczenie było w zamku królowej Bony w Bykach pod Piotrkowem. O tych ćwiczeniach Niemcy dowiedzieli się i piotrkowski garnizon niemiecki był całą noc na ostrym dyżurze. Nie pamiętam szkoleń, jakie odbyliśmy, ale zdaliśmy sobie sprawę, ilu nas jest.

W czasie, gdy ja się ukrywałem w Nadleśnictwie w Meszczach, komendant oddziału Vell zarządził zbiórkę i przemarsz oddziału do lasu. Moi rodzice otrzymali wiadomość od jednej znajomej (pani Mytkowiczowej), która pełniła jakąś funkcję w Komendzie AK, żebym nie stawiał się na zbiórkę u Vella, bo on to robił na własną rękę i komenda AK nie wydała mu broni. Po wojnie rozmawiałem z byłym członkiem AK (nazwisko zdaje się Starostka), który mu tę broń miał wydać i on ten zakaz potwierdził. Vell był trochę awanturnikiem. Jego oddział bez broni został przy pierwszej potyczce rozproszony. Pan Starostka opowiadał, że broń była ukryta w podziemnym schronie, do którego wchodziło się po sznurze wpuszczanym do studni. A jeszcze oprócz tego ta studnia należała do Niemca, „Volksdojcz” (Volksdeutschami byli Niemcy, przeważnie tacy pół krwi, którzy przyjęli obywatelstwo niemieckie). Ten rzekomy Niemiec, o którym mowa, czuł się w 100% Polakiem i był ważnym członkiem AK.

Z innych drobniejszych niebezpieczeństw, jakie na nas czyhały, wymienię następujące: szukając rekruta, urzędnik Niemiec zwrócił uwagę na niemieckie nazwisko mojej mamy (Rothkaehl). A więc mama kwalifikowała się według niego na obywatelkę wielkich Niemiec, a ja na rekruta na front wschodni. Mało wiem, jak wybronił się od tego twierdzenia moi rodzice. Zapewne nie było to trudne, bo wszyscy ich znali jako Polaków, polskie urzędniczki, nasze przyjaciółki, zapewne wyprowadziły Niemca z błędu. W oryginalny sposób wybronił się mój wujek, który był nadleśniczym we Włoszczowej. Po prostu powiedział „ja nie mam pochodzenia niemieckiego, moi przodkowie byli Holendrami (a Holandia była w stanie wojny z Niemcami) i tak odczepili się od niego.

Innym razem znowu jakiś urzędnik niemiecki, przeglądając fotografie z dowodów osobistych, pokazał fotografią mojej mamy urzędniczkom z biura z uwagą, czy ta kobieta jest Żydówką? Na szczęście urzędniczki gorąco zaprzeczyły: „My tę panią doskonale znamy, w niej nie ma nawet kropli żydowskiej krwi”. Niemiec się uspokoił.

**Łapanki** – W 1944 r. Niemcom zaczęło już brakować ludzi zarówno na frontach, jak i w przemyśle. Zaczęli więc stosować łapanki. Polegały na tym, że zamykali część ulic i zabierali wszystkich napotkanych młodych ludzi do przygotowanych gdzieś na uboczu samochodów ciężarowych krytych plandek. Mnie zdarzyło się być w łapance dwa razy. Raz udawałem się do pracy w Nadleśnictwie rowerem około południa, a tu biegną ludzie z naprzeciwka, wołając przyciszonym głosem „uciekaj pan, bo jest łapanka”. Natychmiast zawróciłem, ale z obawy, żeby tego samego nie było z drugiej strony wziąłem



Fot. 10. Nasz komplet tajnego nauczania. Wyżej siedzą: J. Paduszyński, H. Obutelewicz-Bardadin, M. Olczyk znany prawnik w Łodzi, L. S. Jankiewicz, niżej: T. Głowacki i A. Kędzierski. Brakuje Zosi Kuklińskiej-Białek (zesłanej do Ravensbrück, przeżyła wojnę). Brakuje też Pisarskiego, zamordowanego w Auschwitz.

rower pod rękę i zacząłem iść przez pole kartofli. W pewnej chwili obejrzałem się: na skraju ulicy stało kilkunastu Niemców, patrząc w moją stronę. Dlaczego nie strzelali, nie wiem, może bali się zaalarmować strzałami innych mieszkańców. Nie oglądałem się więcej i brodziłem wśród ziemniaków.

Innym razem wracałem rowerem z Nadleśnictwa w niedzielę z rybą podarowaną mi przez leśniczego za udział w łowieniu. Wjeżdżam na wielki Plac (Litewski) koło starego szpitala, patrzę, a tu po drugiej stronie placu stoją żandarmi niemieccy. Myśli przelatują jak błyskawice: wycofać się nie sposób, bo mają samochód – dogonią. Jadę prosto na nich. W ciągu paru sekund wpadł mi pomysł: udawać opóźnionego w rozwoju (w sąsiedztwie mieszkał taki, miałem więc zapamiętany wzorzec). Gdy podjechałem do grupy żandarmów, którym towarzyszył tłumacz, z dumą podałem im dowód pracy z leśnictwa, ale udawany, typowy dla nienormalnego człowieka, przykurcz mięśni ręki i mina zwycięzcy świadczyły, że z moją głową jest coś nie w porządku. Żandarm zmierzył mnie wzrokiem, na jego twarz pojawi się wyraz obrzydzenia i wrzasnął „raus” („wynoś się”) i byłem wolny.

### Opowiadania kolegów uczestników powstania warszawskiego

Jurek Rudny walczył najpierw na Starym Mieście, potem w Śródmieściu. Raz pod dom, gdzie Jurek miał posterunek, podjechał blisko czołg. Jurek miał przygotowaną wiązkę granatów, rzucił ją na gasienicę i czołg został unieruchomiony i łatwy do spalania, a jego załoga stanowiła łatwy cel dla powstańców.



Fot. 11. Trzy koleżanki z kompletów, pierwsza od lewej śp. Halina Obutelewicz-Bardadin.

Innym razem naprzeciwko domu, gdzie Jurek przebywał, wyszedł wraz ze swoją obstawą jakiś wysoko postawiony oficer, widocznie na inspekcję. Niemcy widocznie nie spodziewali się, że w połowie wypalonym domu naprzeciwko ktoś jeszcze może przebywać. Jurek zobaczył Niemców, odbezpieczył granat, specjalnie odliczył parę sekund i cisnął. Sam od razu uciekał w dalej położone ruiny. Usłyszał za sobą wybuch i straszne krzyki, widocznie ten oficer i jego świta zostali trafieni.

We wrześniu lub październiku 1944 r., gdy powstanie już dogorywało, a na wschodnim brzegu Wisły byli sowietci, Jurek zdecydował się przepłynąć w nocy Wisłę. Na szczęście, wychowany nad Pilicą, pływał doskonale, ale woda była zimna. Udało mu się ledwo żywemu z zimna wygramolić na brzeg. Zapukał do pierwszych napotkanych drzwi. Otworzyła mu jakaś wdowa, nakarmiła i ubrała w oficerskie ubranie jej zmarłego męża. Po wypoczynku i odespaniu trudów Jurek wyszedł w tym ubraniu na zewnątrz prościutko w ręce enkawudzystów (NKWD – tajna policja sowiecka). Musiał im długo tłumaczyć, skąd ma mundur, skąd się wziął na wschodnim brzegu Wisły itp. Było to bardzo trudne, podejrzewali go o szpiegostwo. W końcu przypomniał sobie, że w czasie, gdy walczył w powstaniu, bomba trafiła w budynek zajmowany przez komunistyczny konspiracyjny rząd jedności narodowej. Żołnierze AK, a między nimi Jurek, rzucili się ratować ludzi spod gruzów. Jeden z uratowanych, widocznie wysoko postawiony w hierarchii dał w nagrodę Jurkowi kartkę ze swoim nazwiskiem i uwagą: „Jeśli będziesz kiedyś potrzebował pomocy, to możesz powołać się na moje nazwisko”. Ale w czasie walk kartka zginęła, a nazwisko Jurek zapomniał. Po przepłynięciu



Fot. 12. Spotkanie dwóch zaprzyjaźnionych kompletów, pośrodku prof. Wróblewska, wspinała polonistka.

Wisły był dłuższy czas chory na zapalenie płuc. Niemniej enkawudziści nalegali: „Jeśli przypomnisz sobie nazwisko tego człowieka, to cię puścimy”. Nie pamiętam, ile czasu Jurek siedział zamknięty i rozmyślał, kto mógł mu dać ową karteczkę, aż wreszcie sobie przypomniał. Enkawudziści sprawdzili i ten człowiek również przypomniał sobie o zdarzeniu. Jurek odzyskał wolność. Wstąpił do komunistycznego Wojska Polskiego. Wkrótce wojna się skończyła i Jurek zapisał się na studia medyczne. Gdy odzyskałem z nim kontakt, był już lekarzem i miał rodzinę. Z bratem Jurka, Tadeuszem, miałem luźniejszy kontakt. Wiem tylko, że w czasie walk na Starym Mieście był ranny w pośladek i ewakuowano go kanałami do Śródmieścia. Po tej podróży przez kanały rana na pewno musiała być bardzo zanieczyszczona, ale o jej leczeniu nic nie wiem. Po wojnie pracował w Szczecinie. Już jako emeryt kochał wędkarstwo. Żył życiem szczęśliwego emeryta.

### Różne przypadki w Piotrkowie

Wracam do spraw piotrkowskich. Względny spokój zakłóciły na jesieni 1944 r. dwa wydarzenia: ogród w sąsiedztwie wydierzał młody człowiek wysiedlony z Pomorza. Studiował z książek chemię i od niego czasami pożyczaliśmy książki dotyczące tego przedmiotu. Pilnując ogrodu przed złodziejami, spał w szałasie ze snopków słomy ustawionym w ogrodzie. Pewnego ranka zaalarmował mnie wielki huk i widziałem, jak szałas wylatuje wysoko



w powietrze. Wszyscy znajdujący się w pobliżu rzucili się do ucieczki (ja też), spodziewając się, że za chwilę będzie tu gestapo. Zdumiewało mnie, że właściciel szałasów wcale nie uciekał tylko gasił wynikły pożar. Gestapo rzeczywiście za chwilę było, ale o dziwo! właściciela szałasów nie aresztowano. Tłumaczył się, że wybuchły nawozy składowane nieroztropnie razem. Prawdy dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie: pod podłogą szałasów składowano petardy. Zaproszony ogień spowodował ich wybuch. Dzięki zimnej krwi właściciela szałasów uniknięto aresztowań i obozu koncentracyjnego dla niego i jego licznych krewnych.

Drugi przypadek był również groźny. Pewnego sierpniowego ranka wpadł do nas biegiem Stefan Rozpędek z wiadomością: „Ścisłowskiego aresztowano!”. W hierarchii akowskiej on był naszym zwierzchnikiem. Trzeba było natychmiast uciekać, bo nie wiadomo, kto go wydał i czy nie wydał także nas. Złapałem za rower, mama mi wcisnęła coś do jedzenia, jakieś swetry, bieliznę i już byłem na drodze do Nadleśnictwa (gdzie już od około 1 sierpnia pracowałem). W Nadleśnictwie przyjęła mnie żona sekretarza Nadleśnictwa, niezwykle mądra i szlachetna pani Kozarska. Na moje pytanie – czy mogę parę dni pobyc u niej w domu i w Nadleśnictwie, bo mnie szukają, bez wahania zgodziła się, choć jej starszy syn (chyba już wtedy nie żył, ojciec 2 córek był więźniem obozu koncentracyjnego), a i młodszego syna nie było w domu, nie pamiętam, z jakiego powodu. Podziwiałem tę kobietę. Na szczęście mogłem łatwo im się odwdziżyć, bo dawałem korepetycje młodszej wnuczce pani sekretarzowej. Poprzedni korepetytorzy wnuczki (podobno profesorowie jakiejś uczelni) uznali ją za całkowicie niezdolną, zwłaszcza w dziedzinie matematyki. Ja stwierdziłem, że jest całkowicie normalnym dzieckiem, jedynie niepotrzebnie przeskoczono parę zagadnień, a w matematyce tego robić nie wolno. Musiałem w tym dziecku odbudować wiarę w siebie i to nie tylko w dziedzinie matematyki, ale i w innych przedmiotach. I udało mi się to. Już po zakończeniu wojny usłyszałem, że to ona teraz udziela korepetycji.

Muszę jeszcze wspomnieć, że oprócz udzielania korepetycji synowi leśniczego i wnuczce sekretarza Nadleśnictwa, jeździłem na rowerze do kilku innych uczniów w okolicznych wsiach, dając lekcje matematyki, polskiego, łaciny itd. Był to sposób zarabiania na życie. Na koniec roku szkolnego odbywały się w Piotrkowie egzaminy i uczniowie uzyskiwali promocję do następnej klasy, a korepetytor miał sprawdzian swoich kompetencji.

## Koniec okupacji niemieckiej, koniec marzeń o medycynie

Z moją nauką anatomii człowieka mimo tak wielkiego początkowego zapалу nie poszło gładko. Do nauki o układzie kostnym potrzebne są eksponaty. Jak zbudowana jest czaszka lub jak zbudowany jest nadgarstek, nie sposób nauczyć się z obrazka. W pobliżu miejsca, gdzie pełniliśmy warty, były cmentarze. Raz, w piękną czerwcową noc pełną zapachu kwiatów, wybrałem się z kolegą po te brakujące części szkieletu. Tutaj przyroda kipi życiem, drzewa uginają się pod kwieciami, na polach derkacze snują



Fot. 13. Sanitariusz z Luftsztucu  
w mundurze, z noszami.

swoją miłosną pieśń, a my idziemy na-  
przeciwko śmierci. Baliśmy się cmentar-  
nego stróża, Ukraińców, którzy strzegli  
swojego pobliskiego, wojskowego obozu  
i co raz to oświetlali okolicę reflektorem  
i oczywiście baliśmy się duchów. Ja tak  
byłem przeświadczony o słuszności swo-  
jego działania, że duchów bałem się naj-  
mniej. Mój towarzysz pozostał na murze  
cmentarnym, „aby pilnować”, jak twier-  
dził, poszedłem więc sam do upatrzonego  
za dnia grobu. Szedłem ze słabiutką  
latareczką w rękę i ze szpadlem. Z go-  
dzinę trwało aż dokopałem się do czaszki  
mocno już poprzerastanej korzeniami, ale  
kości nadgarstka były niedostępne pod  
pomnikiem. Na drugą wyprawę poszli-  
śmy za kilka dni o 3 rano. Ukraińców już  
się nie baliśmy, bo był dzień, stróż dostał  
łapówkę i wszystko było za jego wiedzą.

Duchów też się nie baliśmy, bo o 3 rano

było już jasno. Rzeczywiście kości nadgarstka zdobyliśmy pięknie zachowa-  
ne, ale przy rozkopywaniu innego grobu zobaczyliśmy tak okropny widok, że  
u mnie spowodowało to jakiś wstrząs nerwowy. Nie mogłem wrócić do anatomi-  
mii, mimo że wszelkimi sposobami starałem się. Wyszedłem z tego obrzydze-  
nia dopiero po pół roku, ale marzenia o tym, bym był lekarzem, skończyły się  
na zawsze. Zacząłem szukać innych dziedzin, w których czułbym się dobrze.  
Wybrałem prawo: myślałem, żeby zostać działaczem społecznym! Ale już po  
dwóch tygodniach stwierdziłem, że to absolutnie nie dla mnie. Poszukiwania  
skończyły się na rolnictwie z nadzieją na specjalizację w ogrodnictwie.

### Nadleśnictwo Meszcze, śmierć młodego leśniczego

Zaraz na początku mojego pobytu w Nadleśnictwie Meszcze zdarzył się tam  
przykry wypadek. Młody leśniczy, który tam pracował, i z którym byłem za-  
przyjaźniony (jego nazwisko Mazurkiewicz – mieszkał z żoną i rocznym syn-  
kiem w tym samym bloku co my) nie wrócił po służbie na noc do domu.  
Niemcy zarządzili poszukiwania. Cała wieś przetrząsała las, ale żadnych śla-  
dów nie znaleziono. Prawda wyszła na jaw dopiero po zakończeniu wojny  
jesienią 1945 roku. W styczniu przez lasy wokół wsi Meszcze przebiegała się  
na zachód, jakaś okrażona armia niemiecka. Po jej odejściu chłopci przeszu-  
kiwali lasy, czy nie ma jakichś zakopanych przez Niemców skarbów. Jedno  
miejsce zwróciło ich uwagę: na leśnej drodze były ślady niedawnego kopa-  
nia (żółty piasek), a na nim ślady po ognisku. Zaczęli tam kopać, ale zna-  
leźli nie skarby a zwłoki ludzkie. Twarz była zmasakrowana, ale domyślali  
się, że to mógł być ten młody leśniczy. Zawiadomili jego żonę o znalezisku,

a ona poprosiła mnie oraz pracownika nadleśnictwa, żebyśmy jej towarzyszyli w rozpoznawaniu zwłok. Pojechaliśmy tam dorożką. Przezornie wziąłem szpadel. Zwłoki leżały płytko zakopane twarzą w dół. Tak mogli pochować człowieka tylko bandyci. Pani Mazurkiewicz zajrzała do jamy ustnej człowieka i od razu po zębach rozpoznała męża. Wkrótce ona z dzieckiem wyjechała na Ziemie Odzyskane. Natomiast ludzie domyślali się, kto mógł być zabójcą leśniczego – był to pewien wiejski opryszek, a Armia Krajowa tępiła takich. We wsi, gdzie on mieszkał, stacjonował mały oddział Ludowego Wojska Polskiego. Pewnego dnia ten opryszek był w domu. Przyszedł do niego akowiec, opryszek zobaczywszy go, od razu rzucił się do ucieczki za stodołę, ale niestety za stodołą czekał na niego drugi akowiec i położył go trupem na miejscu. Żołnierze Wojska Polskiego nie reagowali na ten incydent. Pewnie byli w zмовie z akowcami. Przecież nie jeden akowiec był w wojsku pod zmienionym nazwiskiem. Okolica odetchnęła po tym wyroku dokonanym w imię sprawiedliwości. Opryszek ten nie jedną ofiarę miał na sumieniu.

### Nowe problemy przy zmianie okupacji: ujawniać się czy nie

Koniec niemieckiej okupacji prócz radości przyniósł też nowe problemy. Po wojnie generał Okulicki, który po wzięciu do niewoli generała Komorowskiego, objął dowództwo Armii Krajowej, zwolnił z przysięgi swoich żołnierzy.

Natomiast władze komunistyczne ogłosiły amnestię dla członków AK i innych niepodległościowych organizacji, jeśli się ujawnia.

Stałem więc wobec problemu: ujawniać się czy nie. Dla tych, którzy się nie ujawnia, rząd komunistyczny miał różne „prezenty”: więzienie, obóz koncentracyjny, roboty przymusowe w kopalni węgla lub uranu, „wyjazd turystyczny na białe niedźwiedzie”, a nawet rozstrzelanie, zależnie od „zasług”. Pozornie, logika wskazywała ujawnić się, ale znając przewrotność komunistów, trzeba się było mocno zastanowić. Ja, po wielkich wahaniach, zdecydowałem się zataić przynależność do AK. Byłem zwykłym szeregowcem, a takich w Piotrkowie było podobno parę tysięcy. Na studiach, gdy wyczuwałem, że ktoś może być konfidentem, udawałem przekonanego do zmian, jakie wprowadzają komuniści. Jakoś się udało: do dziś jestem „nieujawnionym akowcem”. A jak potoczyły się losy moich kolegów? Nieujawnienie się prowadziło z powrotem prosto do lasu. Mój młody sąsiad z podwórka Zbigniew Kajdziński zginął jako żołnierz leśnego oddziału w walce z obławą sowiecką. Kilku odsiedziało wyroki, ale ich nazwisk i funkcji nie pamiętam. Niektórych spotykałem już jako studentów, co znaczyło, że uniknęli represji. Andrzejowi Kędzierskiemu „Derwiszowi”, koledze z kompletów, udało się przedrzeć na Zachód, ukończył tam studia, mieszkał potem w Chicago. Lucjanowi Jankiewiczowi (przypadkowa zbieżność nazwiska z moim), młodszemu ode mnie o kilka lat, doradzałem – nie idź do lasu, bo to przecież nie ma żadnego sensu. Chyba mnie posłuchał, bo spotkałem go później jako licealistę. Czy się ujawniał, nie wiem, zapewne tak, ale jako „drobna płotka” w bardzo młodym wieku, nie poniósł żadnych konsekwencji.

## Tak zwane wyzwolenie

Opiszę jeszcze czas zmiany okupantów. Po dość długim okresie, gdy front na Wiśle zastygł w bezruchu, około 12 stycznia 1945 r. dały się słyszeć bardzo odległe odgłosy artyleryjskiej kanonady. W tym czasie otrzymaliśmy ostatnie numery tajnych gazetek, które nam uświadomiły, że wkraczający sowietci nie będą wiele lepsi od Niemców. Opisywano, jak bardzo sowietci nienawidzą AK; jak wywieźli całą starszyznę AK po zdobyciu Wilna i Lwowa do moskiewskich więzień itp. Dobrze, że nas ostrzegli, byliśmy ostrożniejsi. Piętnastego i 16 stycznia nadal słyhać było z oddali działa, a sowieckie samoloty zrzucały na nas małe bomby. Wszyscy mieszkańcy z podwórka schowali się w piwnicy pod naszym domem. Wieczorem słyhać było turkot przejeżdżających czołgów i serie z karabinów maszynowych. Ojciec, który miał większe doświadczenie, jeszcze z pierwszej wojny światowej, powiedział zdumiony – przecież to są odgłosy bezpośredniej frontowej walki. Rano wpadło do nas kilku niemieckich żołnierzy, poprosili o coś do jedzenia i picia. Mówili „Hitler kaput”. Oczywiście daliśmy im. Nie skończyli jeść, gdy wpadł jeden z zewnątrz i wszyscy porwali się do ucieczki, zostawiając plecaki. Mieszkańcy z podwórka zebrali się nad rzeczami, chwilę wahali się, ale potem każdy zabrał to, co zdołał schwycić. Wyszedłem na ulicę i spotkałem sowieckiego żołnierza. Pierwsze słowa, jakie usłyszałem po rosyjsku, to były: *skażytie gdie tut spyrtowyj zawod*” (zawod – fabryka, zakład, spyrtowyj zawod – gorzelnia). Zrozumiałem i udało mi się odpowiedzieć – *tam gdie eta truba* (tam gdzie ten komin). Na noc przyszedł do nas sowiecki żołnierz z prośbą o nocleg. Postawił pepeszę w kącie i w ogóle jej nie pilnował – jaki kontrast z zachowaniem żołnierzy niemieckich – ufali nam jako sojusznikom. Wypróbowywałem na nim swoją bardzo jeszcze ubogą znajomość rosyjskiego. Był artystą cyrkowym, gdzieś koło Uralu. Był sympatyczny, pokazywaliśmy sobie fotografie naszych sympatii. Następne noclegi żołnierzy sowieckich też były raczej sympatyczne, ale strasznie się bali posadzenia o szpiegostwo. Charakterystyczne było, że zaraz pierwszego dnia po wyzwoleniu z samochodu o trafnej nazwie „Agitmaszyna” wyświetlano film mówiący, że Niemcy wymordowali polskich oficerów w Katyniu. Ano! „na złodzieju czapka gore”.

## Już po „wyzwoleniu”

W marcu, jeszcze śnieg leżał na polach, a ja już jechałem do Krakowa zapisać się na organizujący się Uniwersytet Jagielloński. Podróż trwała z licznymi postojami 3 doby. Zapisalem się na wydział rolny. Mieszkaliśmy w niesłychanie zapluskwionym domu akademickim „na Oleandrach”. Miałem pokój wspólnie z dwoma kolegami, również jak i ja akowcami. Jeden z nich – Radecki – był przedtem w oddziale. Opowiadał, jak chronili się przed przeziębieniem. Spali po dwóch plecami do siebie. Radecki opowiadał też, że jak szedł w szpicy i od niego zależał los całego oddziału, było to tak wyczerpujące, że gdy oficer dawał komendę „jesteście wolni”, padał na ziemię, nie zważając na to sucha czy mokra i natychmiast zasypiał.



Fot. 14. Na dachu Domu Akademickiego w Krakowie: z rozwianą czupryną autor artykułu, trzyma się bariery Mirosław Olczyk, po wojnie znany łódzki prawnik.

W gronie kolegów na Uniwersytecie Jagiellońskim wdrażałem się do gromadnego życia. Nie byłem przyzwyczajony do dzielenia się. W domu akademickim miałem piękny kremowy letni płaszcz po bracie Adamie. Koledzy często prosili mnie o niego, bo chcieli ładnie wyglądać na randkach. Nauczyłem się pożyczać ten płaszcz z radością, że im sprawiam wielką przyjemność.

Kłopot był z językiem: w Luftszucu i w partyzantce język był bardzo ordynarny, a tu w środowisku uniwersyteckim trzeba było mówić jak ludzie kulturalni. Postawiliśmy na stole skarbonkę i za każde niekulturalne słowo płaciło się złotówkę. Poskutkowało znakomicie.

Raz przyszedł do nas pod jakimś pretekstem rzekomy były partyzant z Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Mnie ta wizyta wydała się od razu jakaś podejrzana, moi towarzysze z pokoju nie zauważyli niebezpieczeństwa i co raz to ujawniali jakiś szczegół o sobie zupełnie niepotrzebnie. Ja cały czas udawałem, że popieram istniejący ustrój. Później okazało się, że to był agent „Bezpieki”, czyli Urzędu Bezpieczeństwa. Wydało się to w czasie święta 3 maja. Na święto 1 maja mało kto przyszedł, a 2 dni później na **święto 3 maja** tłumy waliły na krakowski Rynek, aby dać wyraz swojemu patriotyzmowi i oporowi przeciwko narzuconej komunistycznej władzy. Nic dziwnego, że władza ta była wściekła. Ja byłem w środku tego tłumy. Zgromadzenie to było całkowicie spontaniczne, ale i przez nikogo niekierowane. Po dłuższej chwili zaczęły do nas docierać niepokojące wieści, że wszystkie ulice prowadzące do Rynku są obstawione wojskiem, że pracownicy „bezpieki”, którzy

mieli swój urząd w Rynku, wciągnęli do budynku przez zaskoczenie kilka osób itp. Robiło się niebezpiecznie. Wobec tego ja postarałem się dopchać do wylotu najbliższej ulicy i pomaszerowałem do Domu Akademickiego. Był już obiad. W czasie, gdy jedliśmy, ktoś wpadł na stołówkę z krzykiem: wychodzić! dom jest otoczony. Wyszło sporo osób. Przed Domem Akademickim stał czołg, a na nim stał sowiet w kozackim mundurze, w czarnej baranicy z czerwonym denkiem i po rosyjsku rozkazywał swoim żołnierzom i nam: „Nikommu nie wolno zostać w budynku!” Między 4. a 5. piętrem był szeroki gzyms, kazał żołnierzowi przejść po nim i zaglądać w okna, czy kogoś nie ma i rzeczywiście w jednym pokoju schowało się kilka osób. „Wychodzić!”. Gdy żołnierz krzyknął „nie chcą”. Kozak krzyknął „*strielaj*”. Żołnierz strzelił i ranił dziewczynę w rękę. Studenci opuścili teraz już posłusznie pokój. Trzymano nas przez pół dnia w zamknięciu, w jakichś barakach i dopiero pod wieczór puścili. Moi koledzy z pokoju byli przetrzymywani znacznie dłużej niż ja. Zatrzymali na dobre tylko kilka osób i tym wytoczono procesy.

Przytoczę jeszcze dwa „obrazki” świadczące, że Stalin wykorzystywał wojenne sukcesy, aby prowadzić swoją zbrodniczą politykę wobec własnego narodu. Przytaczam je, gdyż nasza młodzież często nie zdaje sobie sprawy, do jakiego stopnia okrucieństwa posuwał się Stalin i jego ekipa.

Oto relacja pani Krystyny Niwickiej, żony wicedyrektora Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Mieszkała w czasie wojny blisko Krosna i Dukli w Karpatach. Opowiadała, jak wyglądało zdobywanie przez sowietów Przełęczy Dukielskiej. Codziennie rano w kierunku przełęczy wysyłano duże grupy żołnierzy, ale **bez broni**. Może byli odurzani jakimś środkiem, bo szli jak barany. A na przełęczy Niemcy gęsto posadowili gniazda karabinów maszynowych. Skutek: wkrótce grupa posuwająca się w kierunku przełęczy, zamieniała się w górę trupów. I tak codziennie przez jakiś czas. W ten sposób Stalin prawdopodobnie pozbywał się jakichś niechcianych ludzi.

Także przytaczam podobną relację mojego kolegi z Wydziału Rolnego w Poznaniu. Pochodził z ziem zabranych przez ZSRR na wschodzie. Wzięto go do Armii Czerwonej jako zwykłego szeregowca, a on miał już przeszkolenie jako pomocnik weterynarza. Gdy się upominał o przydział zgodny z kwalifikacjami, otrzymał odpowiedź: „*nam wraczej nie nada*” (nam lekarzy nie potrzeba). Nie wiemy, czy to, że był Polakiem wpłynęło na taką decyzję. Przywieźli go w nocy do okopu, gdzie byli jacyś Mongołowie. Próbował porozmawiać z sąsiadem po lewej stronie – na próżno – nie rozumiał rosyjskiego. To samo było z sąsiadem po prawej stronie, a oni nie rozumieli też siebie wzajemnie. Rano wyprowadzono ich do Czerniowiec (dziś Ukraina) do domów stojących po jednej stronie ulicy, a po drugiej byli Niemcy bardzo umocnieni, posiadający gniazda karabinów maszynowych. Dowódcą grupy sowieckiej był oficer Rosjanin, który wykrzykiwał tylko dwa słowa „*W pieriod*” (naprzód) oraz „*Na sztyki*” (Na bagnety). Gdy jakiś Mongoł się odwracał, Rosjanin do niego strzelał w obawie zapewne o swoje życie. Rezultat – góry trupów po sowieckiej stronie. Mój kolega zagadnął Rosjanina „to co – przyjdzie umierać?” Ten zdumiał się „to ty mówisz po rosyjsku?”. „Idź na tyły ja cię ochronię”. I tak mój kolega przeżył.

## Losy byłych akowców

Kilku kolegów, którzy nie opuścili partyzantki, było potem więzionych. Zdarzały się i bardzo surowe wyroki do kary śmierci włącznie, inni nie ujawnili się i jakoś im to przeszło „na sucho” tak jak i mnie. Jednak bohater-ski dowódca piotrkowskiego 25. pułku piechoty AK major Rudolf Majewski („Leśniak”, „Roman”), który dowodził około 1000 ludzi, został zamęczony w więzieniach Służby Bezpieczeństwa, podobnie jak tylu innych najlepszych patriotów. A czy zdoła się ocenić, ilu ludzi straciło zdrowie w więzieniach? Jakie straty poniosły rodziny uwieczonych przez to, że nie miały dość środków do życia? A czy można ocenić, jakie straty ponieśli młodzi ludzie, ponieważ uniemożliwiono im lub opóźniono kształcenie się czy studia? Wspominajmy w modlitwach, zwłaszcza tych, którzy za to, że z poświęceniem przelewali krew w walce z najeźdźcą, znaleźli śmierć w więzieniach z rąk polskiego czy obcego sadysty.

Na tym zakończę opowiadanie o swoich losach w okresie wojny i tuż po jej zakończeniu.

## Bibliografia

- Bartczak Z., *Liceum Ogólnokształcące im. Bolesława Chrobrego w Piotrkowie Trybunalskim. Dzieje, Wychowankowie, Absolwenci*, Piotrków Trybunalski 2006.  
 Dąbrowski J., Kwiatkowski T., *Jeden trudny rok*, Warszawa 1938.  
 Jankiewicz L. S., Hycak A., *Historia obozów instytucji ISiK i IWarz oraz harcerskich*, Skierniewice 2009 (2010), nakładem autorów.  
 Łęski R., *Pamiętnik ucznia sadownika*, Warszawa 2000, nakładem autora.  
 Kopa M., Arkuszyński A., Kępińska-Bazylewicz H., *Dzieje 25. pp Armii Krajowej*, Łódź 2001.